

CZADEK

Styczeń / Luty 2005

numer 5/6 (20/21)

cena: 0zł :)

XXVII L.O. im. Tadeusza Czackiego w Warszawie



Tajemnicze paseczki w kolorze blue

Sekrety Serka

Pedagog niejedno ma imię

NR 1 STYCZEŃ / LUTY 2005 CENA 0 ZŁ

TYLKO DLA DOROSŁYCH

“Ja mam
rączki tutaj”
- i tej wersji
będę się trzymał

Misie
puszyste

Twoja gęba -
Twoje buraczki,
tylko żadnego
“parno” ani “duszno”



KSTĘPNIĄK

Parę słów na początek. Styczniowo-lutowo będzie, a trochę się działo w tym czasie. Przede wszystkim wróciła zima i śnieg. A wraz z nimi oczywiste oziębienie kontaktów uczniowsko-nauczycielskich; cóż, taka pora roku. Na ocieplenie czy wręcz zaognienie atmosfery musimy poczekać do wiosny (matury, koniec roku, od razu krew szybciej płynie w żyłach). Za nami także studniówka, jak zwykle jedyna w swoim rodzaju, ale chyba w tym roku wyjątkowo niezapomniana ze względu na bezpłatne atrakcje, jej towarzyszące. Trwają Stożki, semestr się kończy i zaraz znów zaczyna, życie wre jednym słowem. Także Festiwal nie daje o sobie zapomnieć – 7 lutego mogliśmy przeżyć jego namiastkę jeszcze raz, ale tym razem już w Teatrze Powszechnym (ach, jak miło znów musieć zostawać w Szkole do 19⁰⁰). Niniejszym zapraszamy do czytania, a także kontemplowania tudzież zreflektowania, co kto woli.

ata & śvistak

KYKIAD Z KONSULEM

- Jak się czujesz po tej ciężkiej próbie, jakiej został poddany Czacki w ciągu ostatnich dwóch tygodni? I jak wg Ciebie z niej wyszedł: zwycięski czy pokonany?

- Nie mogę odpowiedzieć na tak postawione pytanie. To, jak się czuję w wyniku tej afery, nie jest naprawdę ważne.

- Uważasz, że Pani Dyrektor może odpowiedzieć na to pytanie, a Ty nie?

- Myślę, że dla Pani Dyrektor był to większy szok. Ona odpowiada za tę Szkołę. My wystąpiliśmy tutaj w roli mediatora. A Czacki wyszedł pokonany – uważam, że ta sprawa nie powinna wyjść poza Szkołę, powinniśmy ją rozwiązać we własnym gronie – bez względu na decyzję, lepiej by byłoby, gdyby pozostała to decyzja szkolnych organów.

- Czy lepiej by się stało, gdyby nasi koledzy nie poszli na studniówkę?

- Trudno mi powiedzieć. To jest bardziej pytanie do nauczycieli, nie do nas.

- Gdyby kara nie została uchylona, można by mówić o swego rodzaju ostrzeżeniu dla innych, takim przykładzie konsekwencji. Czy podjęta przez Radę decyzja nie była przede wszystkim dydaktyczną przestrożą dla innych, a nie karą dla nich?

- Myślę, że nie. Przestrożą była cała afera, wszystko, co się wydarzyło. Zakaz był przede wszystkim karą dla chłopaków.

- Jak oceniasz postawę społeczności uczniowskiej, która do końca prosiła Radę, również Twoimi ustami, o zmianę decyzji w sprawie pójścia chłopaków na studniówkę?

- Bardzo dobrze oceniam, bardzo cieszę się, że uczniowie potrafili się zjednoczyć. Byłoby bardzo źle, gdyby uczniowie nie chcieli zaangażować się w problem, dotyczący ich kolegów.

- Może to będzie przykre pytanie, ale powiedz, gdybyś w tej chwili był obecny na ustnej maturze któregoś z chłopaków, byłbyś w stanie zapomnieć, co zrobili, i oceniać ich obiektywnie?

- Z całą stanowczością: tak. Myślę, że trzeba wyraźnie oddzielić dokonania naukowe chłopaków od tego przykrego incydentu, gdyż to ludzka rzecz popełniać błędy.

- Czemu część nauczycieli po odtańczeniu przez abiturientów poloneza opuściła budynek NOT-u?

- Nie mam zielonego pojęcia, nie byłem na studniówce. Ale to bardzo ciekawe pytanie, sam chętnie poznałbym powód takiego zachowania.

- Czy uważasz, że w jakiś sposób zmieni się oblicze codzienności w Szkole?

- Myślałem najpierw, że w szkolnej codzienności nic się nie zmieni, bo po pierwszych kilku dniach nic na to nie wskazywało. Nie miał i nie ma miejsca żaden konflikt między uczniami a nauczycielami. Teraz jednak widać, że wielu nauczycieli żywi jakiś żal do uczniów (przynajmniej do tych bardziej zaangażowanych w sprawę), a to, niestety, powoduje, że powstaje i pogłębia się dystans, jakaś bariera między Radą a uczniami. Ma to, niestety, negatywne odbicie w codziennej pracy Szkoły.

- Czy to wszystko, co się dzieje, spowoduje spadek atmosfery wzajemnego zaufania, zmianę polityki wobec uczniów, generalną zmianę wizerunku Szkoły jako tolerancyjnej wobec ucznia?

- To nie jest kwestia tolerancji. Myślę jednak, że sporo się zmieni. Podejście uczniów do nauczycieli – będą się obawiali, że to, co powiedzą szczerze, nie do końca zostanie wysłuchane i zrozumiane; tak samo nauczyciele: będą na nas patrzeć z większą podejrzliwością. Myślę, że pewne porozumienie zostało nadszarpnięte. I raczej nieprędko będzie odbudowane, gdyż tutaj dwoje musi chcieć naraz.

- Czy to, co się dzieje, można określić Czarnym Rokiem Naszej Szkoły (afery festiwalowa, teraz ta studniówkowa)?

- Ja bym tak nie przesadzał, to normalne sytuacje, które mogą mieć miejsce w każdej szkole.

- Naprawdę? Jak tu jestem trzy lata - nie było ich tylu naraz.

- Czasy się zmieniają.

- Dzięki za rozmowę.

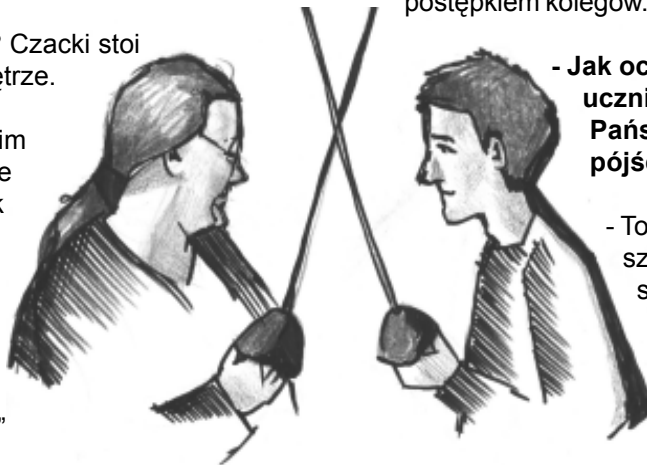
- Wzajemnie.

rozmawiał Dzikus

WYWIAD Z PROF. KOSZYCKĄ

- Jak się Pani czuje po tej ciężkiej próbie, jakiej został poddany Czacki w ciągu ostatnich dwóch tygodni? I jak wg pani z niej wyszedł: zwycięski czy pokonany?

- Jak wyszedł z niej Czacki? Czacki stoi niezłomnie na pierwszym piętrze. Natomiast jak ja się czuję? Ja się czuję przede wszystkim zmęczona. Różne dodatkowe spotkania, stres, nerwy, brak snu ... Jeśli chodzi o Szkołę... myślę, że na pewno ucierpiała atmosfera w Szkole. Ciężko jest o tym mówić w kategoriach: "zwycięski - pokonany", myślę, że na pewno „Czacki” wyszedł mądrzejszy.



- Czy lepiej by się stało, gdyby nasi koledzy nie poszli na studniówkę?

-Wiesz, kilku z nich nie poszło, ja bardzo szanuję ich za to, że przyjęli nałożoną na nich karę bez względu na odgórne decyzje administracyjne czy jakieś zarzuty prawne. Uważam, że ci, którzy na tej studniówce się nie pojawili, postąpili honorowo. Taka postawa jest uczciwa: zrobiłem coś złego, poczuwam się do winy, więc przyjmuję karę.

- A gdyby również tamci trzej nie poszli, nie skorzystali z możliwości, jakie wyższa instancja im umożliwiła? Może wtedy by się to wszystko skończyło, nie byłoby tego zamieszania, nie byłoby jeszcze wczoraj [26 stycznia – przyp. Dzikus] dodatkowego rozpatrywania tej sprawy? Byłaby kara, koniec, nie ma sprawy dalej.

- Może masz rację. Ja uważam, że to by było bardzo honorowo, gdyby oni się nie pokazali na tej studniówce mimo takiej, a nie innej decyzji organów nadrzędnych. Natomiast wczorajsza rada była przede wszystkim radą, zatwierdzającą wyniki klasyfikacji semestralnej, i jej termin wynikał z kalendarza roku szkolnego; powodem jej zwołania nie było dalsze rozpatrywanie tego, czy dobrze czy źle, że chłopcy byli na studniówce.

- Gdyby kara nie została uchylona, można by mówić o swego rodzaju ostrzeżeniu dla innych, takim przykładzie konsekwencji? Czy podjęta przez Państwa decyzja nie była przede wszystkim dydaktyczną przestrogą dla innych, a nie karą dla nich?

- Myślę, że każda kara - kara to trochę złe słowo, każde tego typu działanie - ma na celu uzmysłowienie „winowajcy”, ale również całej reszcie społeczeństwa, do

czego złe postępowanie prowadzi. Jeśli komuś nie starczy wyobraźni, by przewidzieć skutki swego postępowania, to może choć lęk przed karą skłoni go do rezygnacji z urzeczywistnienia każdego sprzecznego z prawem (tu: prawem szkolnym) pomysłu. Myślę, że i jeden, i drugi aspekt jest ważny. Przecież ta kara, nawet uchylona, skłoniła do ogólnoszkolnej dyskusji i refleksji nad postępkami kolegów.

- Jak ocenia Pani postawę społeczności uczniowskiej, która do końca prosiła Państwa o zmianę decyzji w sprawie pójścia chłopaków na studniówkę?

- To jest zjawisko normalne. Tzn. norma szkolnego zachowania mówi, że trzeba stać murem za kolegami.

Ale bardzo podobało mi się to, że w rozmowach z Samorządem wydawało się, że mówimy to samo. Rozumieli argumenty, że ktoś jednak jest czemuś winny,

że źle zrobił. Natomiast to, że prosili, żeby karę złagodzić (bo zmiana równała się złagodzeniu) hm... no cóż, winowajca nie wybiera sobie kary... Dobrze jednak, że staramy się słuchać siebie wzajemnie, może tym nasza Szkoła różni się troszeczkę od innych.

- Może to będzie przykre pytanie, ale proszę mi szczerze odpowiedzieć, gdyby w tej chwili była Pani obecna na ustnej maturze któregoś z chłopaków, byłaby Pani w stanie zapomnieć, co zrobili, i oceniać ich obiektywnie?

- Ja kojarzę wizualnie tylko trzech z nich, więc szczególnie obiektywna byłabym wobec pozostałej trójki, bo nie wiem, którzy to są (śmiej). Podczas pobytu uczniów w Szkole zdarza się mnóstwo dziwnych rzeczy, chociażby wizyta na forum może dostarczyć nauczycielowi wielu bardzo różnych przeżyć, ale pomysł, że miałabym za każde nieprzychylnie słowo pod moim adresem mścić się złymi ocenami, brzmi nieco humorystycznie.

- Czemu część nauczycieli po odtączeniu przez abiturientów poloneza opuściła budynek NOT-u?

- Wszystko działo się bardzo szybko. Można decyzję opuszczenia sali balowej rzeczywiście ocenić jako zbyt emocjonalną, natomiast nie ukrywam, że rozumiem nauczycieli. Wszystkim nam było bardzo przykro – ktoś podważył wypracowaną i, zdaniem Rady Pedagogicznej, najlepszą możliwą decyzję. Nauczyciele musieli przyjść na studniówkę, więc przyszli, natomiast może nie mieli ochoty bawić się w takim gronie. Jeśli się podejdzie chłodno i spokojnie do sprawy, to można znaleźć argumenty przeciwne - przecież nie jest winą 162 uczniów to, co zrobiło sześciu panów, i dlatego 162 osoby mają czuć się nieswojo, czuć się inaczej na studniówce, bo ich nauczycieli tam nie ma.

- Proszę nam powiedzieć, czy w jakiś sposób zmieni się oblicze codzienności w Szkole?

- Co to jest codzienność w Szkole? Jeżeli codziennością w Szkole jest Festiwal i „Stożki”, a na pewno są, to kolejne wyjazdy się odbywają (zanim ten numer się ukaże, następną grupą pojedzie na Stożek)... Ale, oczywiście, coś się zmieni. Dla nas, nauczycieli, jest to jakaś nauuczka; musimy wypracować pewne procedury postępowania, wprowadzić zmiany w Statucie, żeby nie było potem takich nieprzyjemnych sytuacji.

- Czy to wszystko, co się dzieje, spowoduje spadek atmosfery wzajemnego zaufania, zmianę polityki wobec uczniów, generalną zmianę wizerunku Szkoły jako tolerancyjnej wobec ucznia?

- Ja nie wiem, co znaczy w Twoich ustach „szkoła tolerancyjna”, bo chyba nie chodzi o tolerowanie upijania się uczniów na Stożku, chyba że myśmy się źle zrozumieli (śmiej). Nie będziemy tolerowali upijania się na Stożku. Jeśli chodzi o spadek wzajemnego zaufania, to w tym akcie prawnym, który okazał się tak niedoskonały, czyli naszym Statucie, jest sformułowanie o braku odpowiedzialności zbiorowej. Nie wiem, jak można mówić, że ja straciłam do „was” zaufanie, jak to, do jakich „was”? Znow ustawiamy się po dwóch stronach barykady: my – nauczyciele i wy – uczniowie? Właśnie nie, wcale nie, mam bardzo duże zaufanie do ludzi, z którymi się tutaj spotykam. Nie uogólniamy.

- Bardzo się cieszę z tego powodu, że Pani Dyrektor tak mówi. Czy to, co się dzieje, można określić Czarnym Rokiem Naszej Szkoły (afery festiwalowa, teraz ta studniówkowa)?

- Jestem bardzo zmęczona tą sytuacją i chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni, ale nie wiem, czy ten rok wyjątkowo obfituje w „afery”. Codzienność pracy w szkole nie polega na tym, że się wszystko świetnie układa. Dzieją się różne rzeczy – jedne są głośniejsze, inne załatwiane dyskretniej. Przecież ta sprawa nie musiała być taka, że trzęsie się cała Szkoła w posadach przez trzy tygodnie. Po przyjeździe chłopców ze Stożka było spotkanie rodziców z wychowawcą, decyzje zapadły i gdyby były one honorowane, wszystko odbyłoby się w spokoju. Natomiast sprawa została rozdmuchana. Z drugiej strony prawo do odwołania każdy ma zagwarantowane w Konstytucji; chcemy żyć w państwie prawa i chcemy, żeby się wszystko odbywało zgodnie z zasadami demokracji. Może mi się ten przejaw demokracji teraz nie podobać, ale podobno nikt nie wymyślił lepszego systemu..., więc może dobrze, że się tak stało. Zawsze się czegoś uczymy.

- Dziękuję bardzo i życzę odpoczynku.

- Dziękuję bardzo, wzajemnie.

rozmawiał Dzikus

PLEBISCYT

Wydaje się, że głosowanie w kategoriach „najbardziej lubiany nauczyciel”, „najbardziej kontrowersyjny nauczyciel” i „tyran Szkoły” nie wzbudzą żadnych wielkich emocji – ot, raz dostajemy karteczki, na których mamy spisać nasze głosy, a po jakimś czasie rezultaty zostają wywieszane na tablicy ogłoszeń. I tyle...? Tymczasem, jak się okazuje, „wybory” te mogą być bardziej emocjonujące, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, i to zarówno dla uczniów, jak i dla nauczycieli.

Po pierwsze - donoszę, że w naszej Szkole można było się spotkać z prawdziwą kampanią wyborczą! Mam tu na myśli panią profesor Swobodę, która twierdziła, że bardzo chciałaby zostać tyranem Szkoły i zachęcała do głosowania na siebie w tej właśnie kategorii. Niestety, jej apel nie dotarł najwyraźniej do wystarczająco dużej ilości uczniów, gdyż w rankingu trzech największych tyranów Czackiego jej nazwisko wcale nie figuruje. Można także posądzać jej uczniów o złośliwość, która objawiła się tym, iż wbrew jej marzeniom nadali jej tytuł najsympatyczniejszego nauczyciela; cóż, jak pech, to pech, może Pani Profesor uda się za rok...

Już po ogłoszeniu wyników przy tablicy informacyjnej spotkałam pana profesora Olecha, który wydawał się zbulwersowany z dwóch powodów – po pierwsze dlatego, że wygrał plebiscyt na najbardziej kontrowersyjnego nauczyciela, po drugie dlatego, że plebiscytu na tyrana Szkoły nie wygrał. Wydawał się dość zszokowany wynikami głosowania i smutne stwierdzenie: „a tyranem nie zostałem” przeplatał z dramatycznym pytaniem: „a co rozumiecie pod hasłem >>kontrowersyjny<<?”. No właśnie, wydaje mi się, że większość uczniów z tą właśnie kategorią miała największe kłopoty, gdyż rzeczywiście jest sformułowana dość niejasno. Wydaje mi się, że w tym rankingu znaleźli się po prostu nauczyciele niejednoznaczni – nie są uważani ani za tyranów, ani za nauczycieli „do rany przyłóż”, z drugiej jednak strony są postaciami aż tak wyrazistymi, że byłoby szkoda pominąć ich w głosowaniu... Ciekawe jest natomiast to, że w rankingu znalazł się p.prof. Przybyła. Kontrowersyjny katecheta – to brzmi naprawdę niezwykle.

Zaś co do kategorii „tyran”, wydaje mi się, że sami nauczyciele traktują pojawienie się w niej jako swojego rodzaju nobilitację – tu znow przywołam panią Swobodę i jej chęć pojawienia się w trójce wybranych bądź zawiedziony ton głosu pana Olecha po ogłoszeniu wyników. No właśnie, wydawałoby się, że profesor od PO to „pewniak” w tym głosowaniu. Jednak okazało się, że od tyranii fizycznej („Padnij! Powstań!” tudzież „pompki, przysiady, skłony – i bez odrabiania pańszczyzny!”) uczniowie za gorsze uważają zmuszanie ich do nadmiernego wysiłku intelektualnego, dlatego też w tym roku zwyciężyła niepokonana charyzma pani profesor Braś – jak się okazuje, nawet przebojowy i nieustraszony pan Olech musi zadowolić się drugim miejscem, gdy przychodzi do starcia z Panią-Od-Historii.

Na koniec, oczywiście, pozostaje mi złożenie gratulacji zwycięzcom wszystkich kategorii, życzenie dalszych sukcesów, przy jednoczesnym zapewnieniu przegranych, że „za rok na pewno się uda”.

PREMIERY KINOWE W LUTYM

4.02.

„Ray” - dramat muzyczny, USA

„Marzyciel” („Finding Neverland”) - dramat, Wielka Brytania/USA

„Bezdroża” („Sideways”) - przygoda/komedia/dramat, USA/Węgry

11.02.

„Zatańcz ze mną” („Shall we dance?”) – komedia romantyczna/muzyczny, USA

„Mistrz” – dramat, Polska

„Poznaj moich rodziców” („Meet the Fockers”) – komedia, USA

18.02

„Aviator” – dramat/przygoda/romans, USA

zebrała Kaśa

ata

KONTROLERZY

Kontroler. Kanar. Kanarek. Zgodnie z tą definicją należałoby go zamknąć w klatce, by nie łapał gapowiczów. Na co on komu i po co? Przez wszystkich lekceważony, mocno znienawidzony i w ogóle raczej niepotrzebny.

Skąd się biorą kontrolerzy? Wyłaniają się z niebytu peronu lub przystanku, zabierają ostatnie pieniądze i znikają w kurzawie, wznoszącej się za odjeżdżającym autobusem.

Można ich podzielić na dwie zasadnicze grupy: naziemnych i podziemnych, żeby nie powiedzieć - kazamackich, jeszcze bardziej ukrytych, których życie rozgrywa się w bladym świetle jarzeniówek i barowo-piwnym zapachu peronu.

Film węgierskiego reżysera Anatola Nimorda opowiada właśnie o tej drugiej grupie. Ich codzienność - to przypominające Dworzec Centralny perony metra, z nieskończeniem długimi schodami i jeszcze bardziej nieskończeniem długimi torami. Okazuje się, że życie takiego nietypowego stróża rządowego portfela wcale nie jest usłane mandatami. Wielokrotnie lekceważeni przez pasażerów, rywalizujący między sobą, czasem ostro sfrustrowani. Do rozrywek zaliczają „kolejowanie”, bójkę z pasażerami, a także wizytę psychoterapeuty (zawsze to przecież coś nowego).

Po tym, nieco groteskowym, peronowym świecie oprowadza nas czteroosobowa grupa kontrolerów. Bliżej poznajemy niejakiego Bulcsu, śpijącego na peronach pseudoolewacza, który tak naprawdę ma życie osobiste pokręcone niczym kable na torowisku.

Dla mnie „Kontrolerzy” to małe arcydziełko. Owszem, przychyliam się do opinii, że zakończenie filmu jest nieco przewidywalne, ale nie psuje to odbioru całości. Nietypowy jest przede wszystkim temat – życie kontrolera i co w nim może być ciekawego? Nimord tworzy z węgierskiego metra odrębny świat, rządzący się absolutnie własnymi prawami. Ani razu w czasie projekcji widz nie przenosi się na powierzchnię, wszystko dzieje się w podziemiach i bardzo dobrze. Długie schody, prowadzące na górę, do światła, do prawdziwego powietrza, są symbolem jakiejś niewidocznej granicy, oddzielającej dwie zupełnie różne rzeczywistości.

Dla Bulcsu ta granica jest szczególnie ważna. Nie wiadomo, dlaczego, ale chłopak boi się wjechać na górę, coś go powstrzymuje, czegoś się boi. A przecież żył tam kiedyś, oddychając świeżym powietrzem. Dlaczego zrezygnował, co go pociągnęło w dół? Czy wśród peronów stara się na nowo odnaleźć siebie, a maniackalny morderca, wpychający ludzi pod pociągi, to ktoś zupełnie z nim niezwiązany?

Oprócz trochę tajemniczego i nadwrażliwego Bulcsu poznajemy także jego kolegów, przesympatycznych nieudaczników, że tak powiem, we wszystkich kolorach tęczy (a może opaski na ramię?), znoszących niewygodę swojej pracy i budzących natychmiastową sympatię widzów. Wszystko to razem tworzy niesamowitą całość, wciągającą od początku do końca. Do tego bardzo dobrze zgraną i wymyśloną. Dodam jeszcze, że nie miały wpływ na całościowy efekt ma sentymentalno-socjalistyczny wystrój węgierskiego metra, tak dobrze znany i zrozumiały dla polskiego serca.

Polecam, zapraszam, wręcz każę zobaczyć, a przekonacie się, że Wasze postrzeżenie kanarów się zmieni!

"HISTORIA A MY"

Jestem Polakiem. To może powiedzieć każdy z nas. Czy wystarczy jednak pusta deklaracja? Geograficzne określenie siebie jako mieszkańca ziem pomiędzy Odrą a Bugiem? Czy na to, kim jesteśmy, składają się tylko rodzina, przyjaciele, zainteresowania, praca, którą wykonujemy, nasze przyzwyczajenia? Może jednak to początkowe stwierdzenie determinuje o wiele więcej? I nie chodzi mi o dozgonne przywiązanie do reprezentacji narodowej, gromkie „Leć, Adam, leć” czy wypowiedane z ledwo skrywaną drwiną w głosie nieśmiertelne „Polak potrafi” (które skądinąd uzyskało już drugie popularne znaczenie jako idealny komentarz cwaniactwa w najgorszym wydaniu). Pod zewnętrzną skorupą małego i prowincjonalnego kraiku, którym targają wielkie aspiracje, kryje się historia narodu wielkiego, złożonego z wielu różnych kultur i nacji. Wszystko to jednak uległo zatarcu. Wydarzenia ostatniego stulecia zepchnęły nas do dzisiejszej rzeczywistości i pozycji wśród innych państw - jako kraju, goniącego Europę i resztę wysoko rozwiniętych państw świata. Historia, obchodząc się z nami niekiedy bezlitośnie (często z naszej własnej winy), dała nam jednak drugą szansę. Jesteśmy wolni, możemy sami za siebie decydować i liczyć, że z naszym zdaniem, w rozsądnych granicach, inni będą się liczyć. Trzeba tę szansę wykorzystać-odbudowywać gospodarkę, zatarte w czasach komunizmu zdrowe stosunki społeczne oraz kulturę, która paradoksalnie przyhamowała właśnie w tym momencie, kiedy mogła rozwijać się zupełnie swobodnie. Rozpoczynając budowę lepszego jutra, musimy jednak postawić silne fundamenty - spojrzeć wstecz i mądrym okiem ogarnąć naszą historię. Rozliczyć się z przeszłością, odpowiedzieć sobie na pytanie: kim naprawdę jesteśmy i dokąd zmierzamy? To powinno być nasze credo w odbudowywaniu prawdziwej tożsamości narodowej. Tożsamości na miarę naszych aspiracji i roli, jaką chcemy odgrywać w dzisiejszych czasach. Jest to proces bardzo ciężki i bolesny, ale nie można go pominąć.

Z wielką radością należy powitać fakt, że proces ten po ponad dziesięciu latach nareszcie się rozpoczął. Obchody rocznicy wybuchu powstania warszawskiego oraz uroczystości wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau dowodzą, że wspomnienie i ponowne osądzenie bolesnych etapów naszej historii wzmacnia, a nie dzieli, i przynosi nadzieję na lepsze jutro. Gdy odważymy poddać się dobrowolnemu osądowi historii, z pewnością odkryjemy, że za zwrotem „Jestem Polakiem” kryje się o wiele więcej niż tylko przynależność narodowa.

c.d.n.

Conan

STOŻEKGATE

Stożekgate za nami. I bardzo dobrze. Nie mam zamiaru w tym króciutkim pseudoartykule roztrząsać jeszcze raz całej sprawy. Ja mam tylko jedno proste pytanie – co dalej? Bo owa aferka, że tak złośliwie eufemistycznie napiszę, namieszała nie tylko w kwestiach bezpośrednio jej dotyczących, jak na przykład alkohol w Szkole. Ona porusza zagadnienia o wiele dalej idące. Jak, po raz kolejny, na przykład problem wersji. Mojej wersji, twojej wersji, ich wersji, wreszcie naszej wersji. Mam takie doświadczenia, że każdy słyszy to, co chce usłyszeć. I o ile czasem może to mieć sens, o tyle w przypadku jakichkolwiek afer raczej nie. Jesteśmy ludźmi i rządzą nami emocje. Mają one taką moc sprawczą, że z jednego słowa dwie osoby wyciągną totalnie różne wnioski. Rodzi się konflikt, niezrozumienie, wzajemna wrogość. Ufamy tylko „swoim”, zresztą - nic dziwnego, komu innemu mamy ufać. Ale może pokażemy się o odrobinę obiektywnie, popatrzymy z dystansem na siebie i innych, porozmawiajmy! Nie odrzucajmy niczyich poglądów, usiądźmy przy jednym stole i ustalmy owe wersje, porównajmy zeznania. Szczerze. Może to pozwoliłoby uniknąć wzajemnej złości i pomówień. Prawda leży zawsze gdzieś pośrodku, trzeba jej tylko poszukać. Bądźmy konsekwentni, ale darzmy się nawzajem szacunkiem. Tego mi właśnie zabrakło. Dialogu i szacunku, z obu stron. Nie przez cały czas, nie przez wszystkich, ale takie mam ogólne wrażenia. Nie chcę oceniać, kto jest ten zły, a kto ten dobry. Ja bym chciała, byśmy w przyszłości umieli ze sobą rozmawiać. Bo jaką przyszłość ma Czacki, jeżeli będzie tak jak teraz? Wzajemna wrogość. A przecież to nie o to chodzi.

ata

DZIKIE GADANIE



„Nadawał sens słowu patriotą”
– Bronisław Geremek o Janie Nowaku - Jeziorańskim

Patriotyzm

Nie chcę opłakiwać śmierci wielkiego Polaka. To nie będzie epitafium. Każdy średnio rozgarnięty Polak wie, ile dla Polski zrobił „Kurier z Warszawy”. Wśród wielu słów, jakie wypowiedziały po stokroć mądrzejsze ode mnie osoby, słowa Profesora Geremka są jasnym światłem w ciemności smutku, jaki ogarnął nas po śmierci

Jeziorańskiego. Pytanie wracające co i raz jak bumerang: co to znaczy być patriotą dzisiaj? Czy można jeszcze nim być w dobie powszechnej konkurencji? Okazuje się, że można. Wielki Polak zostawił po sobie wyraźne przesłanie, receptę, jak być patriotą.

To przede wszystkim NIE być szowinistą, NIE być ksenofobem, NIE być nacionalistą. Szanować i podziwiać inne narody, nie wywyższać swojego narodu ponad nie. Widzieć zarówno piękne, jak i wstydliwe karty własnej historii. Umieć wybaczać krzywdy własne i narodowe, ale pamiętać o zbrodniach, popełnionych przez własny naród (Jedwabne). Nie tworzyć teorii spiskowych, ale rozumieć cudze interesy i wiedzieć, gdzie zapadają decyzje. Tworzyć wspólne dzieła i jednoczyć się z innymi narodami (UE), ale jednocześnie nie bać się zdecydowanych kroków w myśl własnych interesów narodowych (poparcie dla USA). Walczyć z terroryzmem. Pomagać innym krajom w drodze do pełnej suwerenności (Ukraina). Brzydzić się populizmem. Widzieć nieubłagane prawa ekonomii i gospodarki, uznawać wolny rynek i konkurencję jako konieczność w celu osiągnięcia dobrobytu. To wreszcie w życiu prywatnym aktywnie działać społecznie. Swoim życiem dawać przykład pracowitości, realizowania celów i marzeń. Rozumieć, że dotarcie do innych ze swym przesłaniem na życie jest możliwe dzięki byciu mu wiernym. Być elastycznym, mieć zasady, ale widzieć, że świat się zmienia i to, co starsze i bardziej konserwatywne, nie zawsze znaczy, że jest lepsze. Być tolerancyjnym wobec innych, dyskutować, ale nie zagłuszać. Być odważnym, tworzyć rzeczywistość, a nie być przez nią tworzoną.

Taki właśnie był Jan Nowak – Jeziorański – kolejny człowiek, z którym żałuję, że nie byłem w stanie choć przez chwilę porozmawiać. Bo wierzę, że taką rozmowę zapamiętałbym do końca życia. Może zdradziłby mi sekret, bez którego nic by nie osiągnął. Jak się nie poddawać i walczyć do końca – bo właściwie dzięki temu zwyciężył i osiągnął tyle. I to jest rzecz, która pozwala być nie tylko patriotą, ale wielkim człowiekiem. Ale chyba każdy sam musi do niej dojść.

Dzikus

PAWEŁ BERGER

„ZAPAL ŚWIECZKĘ ZA TYCH, KTÓRYCH ZABRAŁ LOS...”

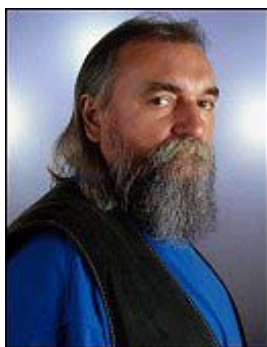
Dziś, kiedy piszę te słowa, jest czwartek, 27 stycznia 2005 roku. Dziś o 13:00 dostałem SMSem smutną wiadomość. Dziś zginął Paweł Berger...

„Jeśli go nie znałeś, to nie żałuj, bo przyjaciela straciłbyś”

Przyczyną śmierci był... wypadek drogowy. Muzycy, członkowie zespołu Dżem, jechali autostradą A-4, wracając z koncertu w Rzeszowie. Za nimi jechała mieszkanka Krakowa. Zaczęła wyprzedzać. Straciła panowanie nad pojazdem. Odbiła się od bandy... Trafiła prosto w busa... Samochód dachował...

Z siedmiu pasażerów pięciu zostało rannych, w tym jeden bardzo ciężko. Jeden zmarł na miejscu. Pasażerka drugiego

wozu nie odniosła obrażeń. Poszkodowani na razie wstrzymują się od rozmów z dziennikarzami – nadal nie wiemy, który członek zespołu jest w najgorszym, krytycznym stanie i czeka na operację.



„Skazany na bluesa”

Paweł Berger urodził się 6 września 1950 roku w Katowicach. Razem z Beno i Adamem Otrębami oraz Aleksandrem Wojtasikiem założył w 1973 roku zespół Dżem, do którego dołączył również Ryszard Riedel w 1974 roku. Był klawiszowcem oraz pierwszym, nieoficjalnym wokalistą grupy, z którą nagrał takie utwory, jak: „Czerwony, jak cegła”, „Wehikuł czasu”, czy sławny „Sen o Viktorii”. Ostatnim albumem Dżemu, nagrany razem z Bergerem, jest krążek „2004” z wokalem Maćka Balcara – nowego wokalisty. Czy ukażą się następne?

„Wehikuł czasu”

Historia Dżemu nieraz dawała nam powody, by porównywać ten zespół do feniksa. Pierwszy wokalista, wspomniany Ryszard Riedel, został usunięty z zespołu w maju 1994, po czym zmarł w lipcu tego samego roku. Miejsce lidera nie zostało jednak długo wolne i na scenę wszedł Jacek Dewódzki, który był z grupą aż do 2000 roku. W 2001 nastąpiła kolejna zmiana i na wokalu pojawił się świetny Maciek Balcar, który zajmuje to miejsce do dziś.

Pytanie brzmi: Czy jest ktoś, kto odważy się zastąpić Pawła Bergera? Czy Dżem znów się odrodzi niczym mityczny ptak? A może wstrząs był zbyt silny i wydarzenia dzisiejszego dnia okażą się końcem zespołu? Oby nie – nie wolno nam tak myśleć!

„Wolny jak ptak”

A co możemy zrobić my – fani Dżemu? Nie możemy przecież siedzieć z założonymi rękami i czekać na werdykt lekarzy! Odpowiedź na to pytanie jest w ich piosenkach, śpiewanych już od przeszło trzydziestu lat. Tyle razy nam powtarzali – „zapal świeczkę za tych, których zabrał los”. Zapalmy więc świeczki za Pawła Bergera. Jesteśmy mu to winni za trzy dekady jego twórczości.

KSPÓŁCZEŚNI GOEBBELSONIE

Po 1989 nasi rodzice cieszyli się z odzyskanej wolności. Nareszcie przestano im wpajać jedyną słuszną ideologię, zmuszać do dwumyślenia. Po wielu latach otaczającej ich ze wszystkich stron propagandy mogli znów sami decydować o tym, co myślą, robią, jakie poglądy wyznają. W nas jako w młodym pokoleniu pokładali nadzieję na budowanie w przyszłości wspaniałej Polski. Od tamtych wydarzeń minęło 15 lat. Co przez ten czas się zmieniło? Czy właściwie wykorzystujemy to, o co walczyli?

Czasami mam wrażenie, że wolność w naszym kraju jest tylko fikcją. Lecz nie dlatego, że na nowo ktoś nam ją zabrał, ale dlatego, że sami ją oddajemy. Dajemy sobą manipulować, pozwalamy się zwieść współczesnym Goebbelsom. Są oni nawet groźniejsi od swego sławnego poprzednika. Obecna propaganda działa za pomocą krzykaczy, pod przykrywką organizacji nam pomagających. Jest rozproszona, a jej twórcy pozostają

anonimowi.

Szeroko omawiana i głośna ostatnio sprawa autostrady, idącej przez Ursynów, jest jednym z lepszych przykładów działalności propagandy dzisiejszych czasów. Przejdźmy się ulicami Warszawy i zapytajmy przypadkowego przechodnia, co sądzi o wspomnianej trasie przelotowej. Szanse na usłyszenie opinii negatywnej, bardzo negatywnej, lub steku wyzwick, zastępowanych w wiadomościach przez „pi”, są ogromne. Zadajmy kolejne pytanie: „Dlaczego autostrada jest zła?”. Spodziewana odpowiedź – „bo tak i już”. „Jakieś argumenty?” – „Jest zła i nie trzeba tego udowadniać, bo wszyscy to wiedzą”. Okazuje się, że w zderzeniu z rzeczywistością często nie jesteśmy w stanie określić, dlaczego mamy takie a nie inne zdanie. Po prostu usłyszeliśmy je już tyle razy i z tylu różnych stron, że bezkrytycznie w nie zaczynamy wierzyć.

Chciałbym, aby opisana powyżej scena nigdy nie była prawdą, lecz wydaje mi się to niemożliwe. Trzeba nie tylko cieszyć się wolnością samodzielnego myślenia, ale również z niej korzystać. Jako ludzie inteligentni nie powinniśmy dawać sobą manipulować. Dostając ulotkę lub słysząc protestujących z hasłem „NIE autostradzie”, może warto by się zastanowić, dlaczego nie. Jesteśmy bombardowani ogromem argumentów – „cały ruch Berlin – Moskwa pojedzie przez Warszawę”. Czytając takie hasło, zastanówmy się, którądy jedzie teraz, jak nie właśnie przez naszą stolicę. Kolejny powód do sprzeciwu: „powietrze zostanie zatrute setkami m³ spalin”. A co spala więcej paliwa na 100 km i które spaliny są bardziej toksyczne – samochodu jadącego 130 km/h autostradą czy stojącego w korku (czyli poruszającego się średnio ok. 10km/h). Niektóre argumenty są tak absurdalne, że nawet nie jestem w stanie poważnie ich traktować. Przytoczony przeze mnie przykład widziałem tylko raz, więc nie należy go uogólniać do wszystkich protestów, ale wspaniale pokazuje opisywane przeze mnie zjawisko zupełnego oderwania od rzeczywistości. W liście do gazety czytelnik udowodnił, że w żadnym cywilizowanym państwie nie prowadzi się autostrad przez miasto. Zastanawia mnie, czy w takim razie całą Europę Zachodnią ów czytelnik traktuje jako barbarzyńców...

W identyczny sposób jak przedstawiony powyżej rozkładane są na łopatki całkiem dobre pomysły, które mogłyby wprowadzić wiele zmian na lepsze do życia naszej stolicy i kraju. Kilka lat temu pojawił się pomysł budowy spalarni śmieci. Razem z pomysłem znaleźli się krzykacze z hasłem „NIE dla spalarni”. Poparci przez mieszkańców zablokowali inwestycję. I znów nasuwa mi się pytanie, które chętnie zadałbym protestującym: skąd woleliby czerpać wodę – ze źródła położonego 0,5 km od wysypiska czy od spalarni? Składowanie gnijących, rozkładających się śmieci zanieczyszcza wodę, glebę i powietrze. Jest siedliskiem wszelkich żywych organizmów, mogących żerować na resztkach wyrzucanych przez ludzi. Czy którykolwiek z tych najgłośniejszych wrzeszczących widział kiedykolwiek spalarnię śmieci XXI wieku?



Czy ma świadomość, co może ona przynieść? Oczywiście, od protestujących dowiemy się, że zanieczyszczenie środowiska. Tylko niby czym – CO₂? Nowoczesne filtry wylapują większość trujących spalin i gazów. Niestety, krzykacze o tym już nie wspominają...

Chciałbym, aby zgodnie z prawdą można było napisać, że po '89 wszyscy cieszyliśmy się wolnością... i nadal cieszymy. Jedną z jej cech jest zobowiązanie do samodzielnego myślenia, do krytycznego spojrzenia na informacje, do nas docierające. Jeśli przejdą naszą weryfikację pomyślnie, walczy o nie; jeśli

polegną, sprzeciwiamy się im, lecz nie przyjmujemy niczego na wiarę (mojej małej pracy też to dotyczy). To, że ktoś głośno krzyczy, nie znaczy, że ma rację. Nie dajmy się zwieść współczesnym Goebbelsom.

Sebastian Frontczak

PAST FOOD VS. BAR MLECZNY

Kończy się kolejny dzień Szkoły, na zegarze wół do czwartej po południu. Poranne śniadanie, zjedzone napędce w domu, już wyczerpało swoje pokłady energii. Drugie śniadanie albo zdematerializowało się w trakcie transportu, albo zjadł je tabun głodnych kolegów. Cóż więc począć, gdy nasze kiszki grają marsza pogrzebowego? By odpowiedzieć na to pytanie, musimy przejrzeć oferty naszych krajowych dostawców (nie)zdrowej żywności.

Mamy dość bogaty wybór: a to McDonald's za rogiem, a to KFC w Centrum. Można też się uraczyć ciepłą kanapką bądź pizzą w przejściu podziemnym. Co jednak dają nam te posiłki poza wątpliwej jakości dawką energii oraz gwarantowaną niestrawnością? Ano, opróżniają nasz portfel w tempie ekspresowym.

Nie zamierzam nikogo namawiać do zmiany poglądów na żywienie – inni przede mną próbowali i nie powiodło się im. Zresztą po co to robić, skoro ludzie i tak mają wolną wolę? Mogę Wam jednak pokazać tańszą alternatywę – a czy smaczniejszą? Sami ocenicie, jak spróbujecie.

Jest takie przytulne miejsce na ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Placu Unii Lubelskiej. Zwie się ono Prasowy. Nie żaden McPrasowy, Prasowy Fried Chicken czy Prasowy King. Po prostu Prasowy... Jest to jeden z tych specyficznych barów mlecznych, o których mogliśmy się tyle nasłuchać w „Misiu”. Oczywiście, to nie te standardy co wtedy... Teraz mamy możliwość przeniesienia sztuców na więcej niż dwa metry od stołu, gdyż nie ogranicza ich żaden łańcuch. Ba, możemy nawet podnieść talerze!

Nie są to luksusy, to prawda. Nie gra muzyka, a kasjerki nie mają przylepionego miłego uśmiechu do twarzy. Co więc sprawia, że warto tu zajrzeć? Spójrzcie do menu: zupy, drugie dania, desery, dodatki... Wszystkiego jest około 60 rodzajów. Co jednak jeszcze ważniejsze – każdego na to stać. Za pięć złotych można się najeść do syta i to ze smakiem (jeśli ktoś sobie ceni domowe obiady).

Już teraz, gdy piszę te słowa, do Prasowego chodzi sporo osób z Czackiego. Najpierw ktoś zaraził mnie, później ja zaraziłem innych. Z tego, co wiem, jest to obrzęd kultywowany już przez kilka pokoleń Czackiewiczów. Nie mamy więc innego wyboru, jak śladem Tadealiów i Festiwalu Teatralnego podtrzymywać tę tradycję przy życiu.

**Naczelnny Dietetyk Szkoły
KoZa**



WALENTYNKI

W pierwszych dniach lutego z ludźmi zaczynają się dzieć dziwne rzeczy. Po pierwsze, coraz łatwiej poznać, kto jest singlem, a kto nie. Ci pierwsi zaczynają się kulić, garbić, zasłaniają twarze naciągniętymi na oczy czapkami i podciągniętymi aż do nosów szalikami. Ci drudzy uśmiechają się coraz promiennie i podśpiewują sobie jakieś stare szlagiery w stylu „Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał”. Najciekawiej jest już w same Walentynki. Tego dnia prawie na każdego czyha pytanie, które może być zdradliwą pułapką lub też dać powód do triumfu. Pytanie na pozór błahe i banalne – jednak tylko na pozór. Tak naprawdę kryje się pod nim wiele; czasem o wiele więcej, niż chcielibyśmy powiedzieć. Pytanie brzmi: „A ile waletynek dostałaś/dostałeś?” Są właściwie trzy podstawowe warianty odpowiedzi; pierwszy, to jakaś liczba – przyjmujemy wtedy pozycję wyprostowaną, głowa do góry, uśmiech na twarzy i z taką nonszalancją, na jaką nas tylko stać, rzucamy: „piętnaście, a ty?”. Kolejne dwa warianty nie są, niestety, aż tak optymistyczne. Są to warianty dla tych, którzy wymarzonej różowej laurki nie dostali. Wariant odważny zakłada dzielne stanięcie oko w oko z prawdą i odpowiedź „żadnej”. Wariant nieco mniej odważny,



jednak o wiele częściej praktykowany, to pochylenie głowy i wyszczenie przez zęby: „zzzammkknij się...”. Asekuracyjni zawczasu będą głośno powtarzać, że (zacytuję tu Bridget Jones): „Całe to święto jest absurdalne i bezsensowne. Czysta komercyjna eksploatacja”. W zeszłym roku doszło nawet do tego, że biedna Warszawa została oplakatowana hasłami, bojkotującymi Święto Zakochanych (pamiętacie plakaty „Pocałujcie Świętego Walentego...”?) – phi, asekuranci.

Dwa lata temu, jeszcze w gimnazjum, robiłam w Walentynki za aniołka, amorka czy co tam roznosi tę Walentynkową pocztę (ciekawe doświadczenie biegać w zimie po szkole w letniej, różowej sukience i okropnie niewygodnych skrzydłach). Do tej pory pamiętam tę nadzieję w oczach dziewczyn (i przestrach w oczach chłopaków), kiedy pojawiałam się na horyzoncie. Właściwie strasznie dużo osób zachowywało się, jakby czekało na wyniki jakiegoś egzaminu – dostanę kartkę czy nie dostanę... Biedactwa, czasem myślałam, czy by nie podrzucić jakiegoś anonimu dla nich...

Ludzie! Walentynki z założenia nie mają rodzić stresów! To może być naprawdę miłe święto, jeśli tylko ustali się pewne reguły – np.: „Nie wolno pytać znajomych, czy dostali jakieś kartki, jak będą chcieli, to sami nam powiedzą” albo „Ci, którzy nie są singlami, nie powinni tego dnia wyglądać na zbyt pewnych siebie, żeby nie peszyć tych, którzy się niczego nie spodziewają”, a co najważniejsze: „Nie wolno tak strasznie się przejmować, raczej podejść do wszystkiego z uśmiechem i uznać, że z założenia jest to bardzo sympatyczne święto”. Życzę wszystkim dużo miłości.

Kaśa

Choć nie tylko tańczący zwracali na siebie uwagę – to, co panie miały w dłoniach, również robiło odpowiednie wrażenie. W czterech przypadkach na pięć była to tradycyjna czerwona róża. Jednak uczniowie klasy IIIc postanowili przełamać tradycję i wyposażyli się w... pędy bambusa! Był to widok zaiste wyśmienity, gdy co kilka par szedł duet z tym zielonym ewenementem.

Czas teraz przyjrzeć się samej sali, w której odbywał się polonez. Jest na co patrzeć! Łoża była przyozdobiona wielkim napisem „STUDNIÓWKA 05”, a pod sufitem łączyły się dwa łuki balonów, wypełnionych helem. Pomysł naprawdę świetny i efektowny. Nie zabrakło również „zbiornika” z balonami, wysypywanymi w okolicy północy, podczas zajadania uroczystego tortu.

Skoro przy jedzeniu już jestem, to napomknę co nieco o cateringu. Wyglądał wyśmienicie, bosko, aż człowiek się rwał, by wszystkiego skosztować. Niestety... na „wyglądał” muszę poprzestać, gdyż smak już nie był proporcjonalny do wrażenia wizualnego. O ile główne danie było naprawdę smaczne, to już przystawki nie trafiły w mój (i jak wiem, wielu innych osób też) gust. Nie ma jednak co narzekać, gdyż coca-coli było dużo, co dawało nam szansę na odrzewienie się i ponowne ruszenie w tany.

A było do czego tańczyć, oj, było. Pierwsze trzy godziny minęły na zabawie przy hitach lat '60, '70 oraz '80. Warto wspomnieć, że na parkiecie pojawiali się również nasi nauczyciele i to w dużych, zorganizowanych grupach. Niestety, po pierwszej nad ranem (a może w nocy) zmieniły się kompletnie klimaty i byliśmy zmuszeni do słuchania między innymi hip-hopu, gdyż DJ był nieugięty i, o ile mi wiadomo, nie pozwalał nam puszczać własnych płyt. Rymowanie się jednak skończyło i w głośnikach usłyszeliśmy przeboje Queen, przy których znów wszyscy wskoczyli na parkiet.

Cała impreza zakończyła się bardzo miłym akcentem – powtórką poloneza. Tym razem nie było jednak dyskryminacji na tle wiekowym i zatańczyć mogli wszyscy, którzy wyrazili taką chęć i znaleźli sobie partnera. Taniec wyszedł wspaniale – pierwsza para oprowadziła nas po całym budynku NOT-u, kończąc na sali tanecznej przy akompaniamencie oklasków osób, które dotrwały do końca uroczystości.

KoZa

POLONEZA CZAS ZACZĄĆ!

I ruszyli! Szpaler uczniów, przetykany gdzieniegdzie VIPami w postaci dyrektora i nauczycieli, idzie z wolna, w rytm poloneza z „Pana Tadeusza”. Początki trudne, lecz z każdym krokiem idzie coraz lepiej. Raz, dwa, dwa, trzy... Udało się!

Właśnie tak minął inauguracyjny tegoroczny studniówkę polonez i zarazem pierwsze piętnaście minut imprezy. Muszę przyznać, iż miałem dużo szczęścia, gdyż jako widz trafiłem do pierwszego rzędu pod oknem. Widok miałem wręcz idealny. A co ujrzały moje oczy: damy w pięknych kreacjach, dopracowanych w każdym najmniejszym szczególe. Co i rusz widziałem oblicze jakiejś koleżanki z korytarza szkolnego, przyozdobione finezyjną fryzurą, przygotowaną specjalnie na tę okazję. Panowie wypadli nie gorzej, choć trzeba nadmienić, że mieli znacznie mniejsze pole do popisu.

"KASTELA i PIERŚCIEN SETA CZ.3"

Kragon uwielbiał spędzać długie wieczory w karczmach. Najlepszym ukoronowaniem dobrego dnia było wypicie kilku niezłych kielichów wina, najlepiej całej flaszki wyśmienitego wina z Poitanii, pamiętającego jeszcze czasy pradziada obecnego władcy tego akwilońskiego księstwa. Oczywiście, ten znakomity trunek byłby niczym bez towarzystwa kilku pięknych nierządnic, oplatających go w czasie gry w kości z innymi bywalcami tego przybytku. Niestety, o wszystkie te rzeczy nie było łatwo. Najlepsze wina, dziewczyny i w miarę uczciwi gracze (tacy, z którymi nie trzeba grać, trzymając kindżał pod stołem) znajdowali się tylko w nielicznych i wykwinnych karczmach, które nie mają litości dla sakw swoich gości. Na szczęście, Kragon od jakiegoś czasu nie musiał oglądać dna swojej sakiewki i mógł oddawać się wszelkim przyjemnościom, jakie Shadizar mógł zaoferować. Dziś także oddawał się swojej pasji, grając w kości z jednym z

szubrawców z Dzielnicy Kopalń, którego do tego miejsca przywiódł chyba tylko chęć szybkiego pozbycia się obfitego łupu z kradzieży. To Kragon z wielką chęcią chciał mu umożliwić.

- Przegrałeś, Cymmeryjczyku!- zakrzyknął zwycięsko, gdy kości skończyły się turlać po stole - „Żebrak”, najgorszy rzut! Fortuna nie jest dzisiaj dla ciebie łaskawa! - dodał i począł zbierać wygraną ze stołu.

Jego przeciwnik podniósł się powoli z ławy, co ułatwiły mu dwie hurysy, szybko odchodząc do innego stolika; jako przegrany bez grosza nie wydawał się już tak interesujący. Był wysoki i barczysty, dobrze umięśniony. Kragon szybko zauważył, że każdy biceps pracuje u tego człowieka. Sprawiał wrażenie osoby potężnej i silnej, a jednocześnie zwinnej i szybkiej. Były to cechy najemnego żołnierza i jego nietypowy kompan niewątpliwie nim był. Podniósł z ławy swój miecz, jedyną część swojego dobytku, poza skórzanymi spodniami, butami i opaską na głowie, przytrzymującą grzywę czarnych włosów, opadających na czoło. Zwrócił się do Kragona i wpatrując mu się niebieskimi oczami prosto w twarz, odparł:

- Na brodę Ymira! Zgrałem się do cna! Masz rację, Kragonie. Dzisiaj Fortuna poskąpiła mi swoich wdzięków. Liczę, że w czasie bitwy będzie bardziej łaskawa. - Gdy wymówił te słowa, Kragon był prawie pewien, że ujrzał mały uśmiešek na ustach tego olbrzyma. „Coś czuję, że w czasie walki Fortuna może się jedynie biernie przyglądać popisom tego olbrzyma” - skonstatował.

- Pozwól, że postawię ci ostatni kufel piwa, zanim znowu wyruszysz na najemniczy szlak.- Był to tradycyjny gest ze strony zwycięzcy i powszechne powiedzenie pośród ludzi, parających się wojennym rzemiosłem. Cymmeryjczyk skinął przyzwalająco głową. Sługa przyniósł dwa kufle. Mężczyźni sprawnie rozprawili się ze swoimi trunkami. Odstawili naczynia na stół i uścisnęli sobie dłonie:

- Żegnaj i powodzenia, Conanie!

- Do zobaczenia, Kragonie!

W powietrzu zawisło niewypowiedziane przypuszczenie, że następnym razem mogą się znaleźć po przeciwnych stronach. Dla doświadczonych najemników nie miało to żadnego znaczenia.

Cymmeryjczyk odwrócił się i wolnym krokiem wyszedł z karczmy, odprowadzany wzrokiem nierządnic i kilku oprychów, którzy po ocenie jego postury, miecza i sposobu poruszania się powrócili do swoich mało absorbujących zajęć.

Po odejściu Conana Kragon wpadł w nostalgię. Zaczął wspominać owe czasy, gdy sam był wolnym najemnikiem, takim jak jego rośli towarzysz. Wierny jedynie pieniądzwowi i samemu sobie. Uczestniczył w wielu bitwach i kampaniach. Na wielu z nich znacznie się wzbogacił, ale potem w szybkim tempie tracił swój dobytek - w wyniku szybkiego odwrotu lub, najczęściej, z powodu prowadzenia hulaszczego trybu życia, który zabraniał oglądać się za siebie i martwić się o jutrzejszy dzień. Zawsze pozostawał wierny kompan - miecz - i przy jego pomocy wszystko było możliwe do zdobycia. Tak przynajmniej kiedyś uważał. W pewnym momencie jednak, gdy przeżył o jedną kłęskę za dużo i sytuacja stawała się krytyczna, ukrywając się przed pościgiem przeciwnika, zaczął zastanawiać się nad własnym życiem. Na wojennej ścieżce spędził prawie dwadzieścia lat, dochodził już czterdziestki. Zdawał sobie sprawę, że z czasem będzie coraz słabszy, mięśnie zwiotczeją, straci swoją zwinność i szybkość. Każda walka będzie ogromnym ryzykiem, każda bitwa - śmiertelną pułapką. Zaczął myśleć o wycofaniu się z żołnierskiego fachu. Nie miał jednak żadnych oszczędności; przez wszystkie lata „odkładanie” było ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślałby wobec pieniędzy. Tak jak szybko przybywały, tak wybywały. Mając w perspektywie niewiele czasu, w którym

byłby jeszcze zdolny do zarabiania pieniędzy swoimi umiejętnościami, musiał obmyślić jakiś sposób szybkiego dorobienia się fortuny, która zapewniłaby mu spokojną przyszłość. Z tych właśnie przyczyn najął się jako najemnik u stygijskiego czarownika Toth-Amona. Choć był to człowiek straszny i nieobliczalny, płacił dobrze i na czas. Oczekiwał w zamian bezwzględного posłuszeństwa i wierności oraz pełnej dyspozycyjności. Kragon, aczkolwiek niechętnie, zgodził się na te warunki, mając w perspektywie spokojne życie na wsi w swojej ojczystej Brythunii, które będzie prowadził po przejściu na emeryturę za stygijskie złoto czarownika. Praca była często uciążliwa i można było przy niej naoglądać się wielu okropieństw, ale wszystko rekompensował brzęczący mieszek monet, obok którego budził się codziennie. To on pozwalał mu na prowadzenie swobodnie hulaszczego trybu życia, a przy okazji odkładanie grosza na później. Dzisiaj zamierzał aktywnie skorzystać ze swojego dobrobytu, spędzając całą noc w tej uroczej knajpie. Z myślą o tym sięgnął ręką po puchar wina i uśmiechnął się do blondwłosej kurtyzany, która wpatrywała się w niego z drugiego końca sali. Gdy zbliżał trunek do ust, poczuł nagle w głowie pulsujący ból. Upuścił kielich na ziemię, wywołując konsternację ludzi, siedzących przy stoliku obok. Po chwili znowu zabolęła go głowa i jak taran wdzieraly mu się do niej obrazy posiadłości i Toth-Amona. Każdy obraz wiązał się z atakiem bólu. Po chwili wizje i migreny skończyły się. Kragon opadł na podłogę i dopiero po chwili zauważył, że znalazł się po drugiej stronie pomieszczenia i wszyscy się w niego wpatrują. „Musiałem latać po całym pomieszczeniu z bólu” - pomyślał.

Szybko ogarnął się i prędkim krokiem skierował się do swojego stołu. Zabrał stamtąd swój płaszcz i hełm. Rzucił na stół kilka złotych monet - znacznie przewyższających swoją wartość cenę zamówionych trunków - i w szybkim tempie opuścił lokal. Po chwili karczma znowu zapełniła się szumem rozmów; wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Kragon w tym czasie, biegnąc, zmierzał do willi. „Coś poważnego musiało stać się w posiadłości. Nie bez powodu czarownik wezwał mnie w ten sposób. To świadczy jeszcze o jednym - jest strasznie wzburzony. Mam nadzieję, że zanim dotrę na miejsce, trochę mu przejdzie”- pomyślał z obawą najemnik, zmierzając biegiem w stronę złowieszczego czarnego muru rezydencji.

c. d. n.



Conan

STUPNIŃKA 2005



MONA JEST SREBREM....

Teczki miały służyć kompromitacji i zneutralizowaniu przeciwników. Miały zawierać haki. A to kieliszek, a to kochanka. W każdej rodzinie coś się na kogoś znajdzie.
Lech Wałęsa, były prezydent RP, **Gazeta Wyborcza**, 24.01.2005

Ja wiem, co mówię, akurat pewnych moich wypowiedzi jestem pewny.
Leon Kieres, prezes IPN, **Radio ZET**, 24.01.2005

Nikt nam nie może zarzucić, że mamy dobre pomysły.
Wiktor Czernomyrdin, były premier Rosji, **New York Times**, 17.01.2005

Publikacja wszystkich materiałów to nie jest rozbrojenie, tylko odpalenie zapalnika. Opublikować. Całe to szambo rozlać na nasze place, na nasze ulice, po naszych domach. I co? Jak rozlejemy, to problem zniknie? No nie, nie zniknie. Tylko dzisiaj wdeptujemy w to g... od czasu do czasu, a później będziemy się już taplać w tym przez resztę życia.
Zbigniew Bujak, **Program I Polskiego Radia**, 24.01.2005

Nie widzę związków przyczynowych między polską obecnością w Iraku, a spacerami po kruzgankach.
Józef Życiński, arcybiskup lubelski, **Gazeta Wyborcza**, 03.01.2005

Jak mnie nie poprą, nie wystawimy do komisji nikogo. Niech złodzieje rozliczą się sami.
Andrzej Lepper, przewodniczący Samoobrony, **Życie Warszawy**, 24.01.2005

Moim jedynym luksusem jest wygodne łóżko.
Henryk Jankowski, były proboszcz Parafii p.w. Św. Brygidy w Gdańsku, **Życie Warszawy**, 24.01.2005

Liczba naszych żołnierzy należy, szczerze mówiąc, do tych spraw, które wymknęły się spod mojej kontroli.
Donald Rumsfeld, były sekretarz obrony USA, **NBC News**, 10.01.2005

Jaguar jest doskonałym samochodem dla pary jadącej na randkę, ale nie dla mnie. Samo wejście do tego auta sprawia mi olbrzymi problem. Ciasnota tego samochodu jest nie do przyjęcia.
Henryk Jankowski, były proboszcz Parafii p.w. Św. Brygidy w Gdańsku, **Życie Warszawy**, 24.01.2005

W czasach PZPR byłem w piaskownicy bardziej niż zajmowałem się frakcjami.
Włodzimierz Cimoszewicz, marszałek Sejmu RP, **Program I Polskiego Radia**, 24.01.2005

Czy to ważne, co zdarzy się jutro? Dla nas skalą jest całe stulecie czy nawet tysiąclecie.
Jean-Pierre Raffarin, premier Republiki Francuskiej, **Financial Times**, 24.01.2005

Zaufanie nie rodzi się z dnia na dzień. Nie można przyjechać, powiedzieć: nazywam się Kwaśniewski, jestem prezydentem Polski, teraz będę wam pomagał. Tak się nie da.
Aleksander Kwaśniewski, prezydent RP, **Tygodnik Powszechny**, 17.01.2005

Dla mnie jednak święty Mikołaj kończy się 6 grudnia. Potem jest już tylko aniołek.

Tadeusz Pieronek, biskup, **Radio ZET**, 3.01.2005

My jesteśmy bardzo litościwi dla Giertycha. Nie domagamy się dla niego 3 lat więzienia.
Tomasz Nałęcz, wicemarszałek Sejmu, **Program III Polskiego Radia**, 10.01.2005

Wybrał: Dzikus

KAZDA OSOBA ZAINTERESOWANA PISANIEM DO CZADKA! :) :

Ponieważ okazało się, że zebrania nie zawsze są odpowiednią formą porozumiewania się z Wami, postanowiliśmy napisać, może będzie łatwiej.

Nie da się ukryć, trochę się to wszystko rozmyło po świętach; rozleniwiliśmy się nieco, popuściliśmy przysłowiowego pasa etc. Numer styczniowo/lutowy wydawany jest w pośpiechu, z małą ilością tekstów i w ogóle nie tak, jak trzeba. Dlatego też chcielibyśmy zaapelować o zebranie się w sobie i ponowną pracę na pełnych obrotach, jak to było wcześniej. Następny numer planujemy na „tuż po feriach” i termin składania tekstów w związku z tym jest na 1. weekend lutego. Bardzo byśmy prosili o trzymanie się terminarza, bo nie chodzi tutaj jedynie o naszą (moją i śvistaka) wygodę, ale także o dotrzymanie umów z poszczególnymi redaktorami Czadka. Oprócz tego przez cały czas zapraszamy do współpracy; Czadek nigdy nie był i nie będzie gazetką zamkniętą; zapraszamy do pisania, rysowania, ogólnie rzecz biorąc tworzenia :) i tym optymistycznym akcentem kończymy.

ata & śvistak

STOPKA REDAKCYJNA:

Red. Nacz.:

Agata "ata" Tomaszuk 2b
Witek "śvistak" Granicki 2e

Red. Techn.:

Człowiek-który-sam-nie-wie-jak-się-nazywa 2e

Redaktorzy:

Kasia "Kaśa" Tropiło 2b
Tomek "KoZa" Kozioł 1b
Piotr "Dzikus" Kulczycki 3b
Michał "Conan" Kapa
Sebastian Frontczak

Grafika:

q_ska

Projekt okładki:

Kasia Bartnik 1d & śvistak
(autorzy chcieliby podziękować prof. Ziębie za nieocenione wsparcie w negocjacjach)